

Pobył na zesłaniu
/Odpowiedź na ankietę Archiwum Wschodniego/

- I. 1. Krystyna Orzechowska-Juzwenko, nazwisko panięskie - Prajs; przed wojną - od urodzenia i w czasie wojny używałam imienia Anita, po 1946 roku matka zmieniła mi imię na Krystyna. Data i miejsce urodzenia: 18 kwietnia 1933 r. Łódź.
2. Na kresach, to znaczy początkowo w Białymstoku, a następnie w Pińsku, znalazłam się na skutek ucieczki mojej matki wraz ze mną z Łodzi we wrześniu 1939 roku przed okupacją niemiecką podczas strasznego bombardowania okolic Łodzi /Brzeziny/, Puław i innych miejscowości, przez które uciekałyśmy z matką na wschód. Ponieważ wielokrotnie na naszych oczach bomby rozrywały ludzi na strzępy, pozostawiając dzieci bez matek, miałam umieszczoną na szyi drewnianą tabliczkę, z którą się nie rozstawałam, na której były moje dane personalne /imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia, miejsce zamieszkania do wybuchu wojny tzn. Łódź ul. Wólczańska 159/. Po dotarciu do Pińska zamieszkałyśmy z matką w jednym pokoju wraz z wieloma uciekinierami. Ojciec mój, Wiktor René Prajs, nie był z nami w dniu wybuchu wojny w Łodzi. Po powrocie następnego dnia do domu dowiedział się od znajomych, że uciekłyśmy na wschód, wyruszył więc w drogę, piechotą pod bombami, w poszukiwaniu nas. Odwracał twarzę zwłok kobiet i dzieci, wypytywał ludzi, szukając igły w stogu siana. Wreszcie po dotarciu do okolic Pińska zupełnie przypadkowo trafił na nasz ślad. Spotkanie z nami mogłoby być w takich okolicznościach określić jako fikcję liberacką, a jednak była to rzeczywistość. Po kilku tygodniach ojciec wyruszył z powrotem do Łodzi, aby przywieźć do Pińska moją babcię /matkę matki/, którą przeprowadził przez granicę w Makkini i powrócił wraz z nią do Pińska.
- 3., 4., 5., 6., 7., 8., 9. - na te pytania nie jestem w stanie odpowiedzieć.
10. Wywieziono nas z Pińska w 1940 roku. W nowy przyszło dwóch funkcjonariuszy NKWD i kazali nam spakować się w ciągu dwóch godzin. Następnie załadowano do wagonów towarowych i wraz z wieloma Polakami po wieledniowej wędrówce w okropnych warunkach higieniczno-sanitarnych dowieziono do miejsca pobytu.

Nazywano nas : "specpierrezieleńcy". Wywieziona nas, ponieważ nie chcieliśmy przyjąć radzieckiego obywatelstwa.

II.

12. Drogę do łagru na zesłanie przebyliśmy głównie koleją w wagonach towarowych w urągających elementarnym zasadom ludzkiego bytowania warunkach, częściowo również piechotą. Podczas podróży zmarło wiele osób.

13. Wywiezono nas do łagru w miejscowości Kwasza, Krasnoborskiej rajon, Archangielskaja obłaść.

a/, b/ Na obiekt składało się kilka baraków mieszkalnych dla zesłańców, barak, w którym była komendantura, zamieszkały przez radzieckich komendantów z bronią i psami; barak, w którym mieściła się stołówka. Obiekt był usytuowany w lesie, w tajdze, nad rzeką Uftiugą, dopływem Dźwiny Północnej. Drogę dojazdu ani okolicznych miejscowości nie pamiętam.

c/ Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć.

d/, e/, f/, g/, h/, i/ -

Trudne warunki klimatyczne, niezwykle prymitywne warunki codziennego bytu, głód, niedożywienie, ciężka praca ludzi, ich odosobnienie, świadomość niemożności ucieczki od tego wszystkiego, składały się na warunki życia w miejscu zsyłki. Zimą mróz dochodził niekiedy do minus 40°C, pamiętam jak zlepiła ludziom powieki. W lecie - plaga owadów, rano małe muszki, które wbijały się do nosa, uszu, oczu, w dzień duże muchy, które siadały na ciele, a po ich odfrunięciu krew płynęła z miejsca ukąszenia. Pamiętam, że miałam całe nogi pokryte wrzodami. Niedożywienie i brak higieny sprzyjały zakażeniu ran po ukąszeniach much. Wieczorem i w nocy nie dawały spokoju roje komarów, których wylegarnią były otaczające nas w lasach bagna. Jadaliśmy zupę z niełuskanego owsa, ponadto płacili z otrębów; na rocznicę rewolucji październikowej i święto 1-go maja dawano nam słodzoną herbatę.

Na skraju osiedla było wzgórze, na którym z każdym dniem przybywało coraz więcej grobów. Na zbiórkach zesłańców spędzanych do budynku stołówki komendanci często grozili przeniesieniem na to wzgórze na wypadek uchylenia się od pracy.

Pracowali wszyscy fizycznie - od młodych do starszych ludzi - w lesie przy wyrębie lasu jako "liesoruby". Pnie drzewa splewane były następnie rzeką Uftiugą na północ.

Z ciekawszych wydarzeń pamiętam kilka. Jeden z współzesłańców zdesperowany do ostateczności próbował ucieczki. Nie trzeba było za nim organizować pogoni. Samo położenie osiedla z dala od świata oraz surowość przyrody sprawiły, że znaleziono go po kilku dniach w lesie martwego spuchniętego z głodu, z licznymi ukąszeniami owadów i leśnych zwierząt.

Pewnej wiosny, widząc, że głód uniemożliwia zesłańcom wydajną pracę przy wyrębie lasu, komendanci zdobyli się na gest i obiecali ludziom, że będą mogli posadzić sobie tego lata kartofle. Powiedzieli, że każda rodzina dostanie kawałek pola. Pola oczywiście nie było, był las, który trzeba było sobie samemu wykarczować, aby móc zasadzić obierki z ziemniaków z "oczkami" przywiezione z kołchozu. Nie zapożną rozpaczy matki, która pewnego dnia po przybyciu z naszego "pola", na którym zieleniły się już kartoflane pędy, stwierdziła, że tej zimy na pewno umrzemy z głodu, ponieważ pędy zostały obgryzione przez leśne zwierzęta. Na szczęście po ogrodzeniu pola wszystko odrosło. Pamiętam, jak zimą ludzie upolowali niedźwiedzia. Mieliśmy ucztowanie przez kilka zimowych dni.

Zesłańcy w obozie pochodzili z różnych grup społecznych. Było sporo inteligencji; z nazwisk pamiętam: pułkownikową Konasową z dziećmi, inżyniera Birmana z synem Michałem, adwokata Rедера, Altmanów, Antopolskich.

- j/ Istniała możliwość pewnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Do obozu przychodzili do niektórych zesłańców listy. Nasza rodzina dostawała sporadycznie paczki od krewnych mieszkających w Moskwie.
- k/ Opuszczenie obozu przez Polaków miało miejsce w 1941 roku. Zwolnienie z obozu nie objęło jednak wszystkich rodzin. Komendanci /przypuszczalnie bezprawnie/ pozostawili po kilka rodzin w odległych o kilka lub kilkanaście kilometrów osiedlach jako niezbędną im siłę roboczą do prac przy wyrębie lasu. W osiedlu Kwasza zostało kilka rodzin, między innymi - nasza rodzina. Rozpaczy ludzi pozostających w osiedlu, obskrwających inne odjeżdżające rodziny, nie da się opisać. Jednakże na przekór rozpaczy i sytuacji bez wyjścia wszyscy mężczyźni z pozostawionych

rodzin postanowili nocami potajemnie budować tratwy z wyrębanych drzew, aby móc uciec ze znenawidzonego miejsca. Gdy tratwy były gotowe, znajdowały się już na wodzie, bardzo wczesnym rankiem, o świcie zesłańcy załadowali swój mizerny dobytek i siebie na tratwy. Gdy wszyscy już opuścili brzeg, tuż przed odpłynięciem usłyszeliśmy krzyki komendantów i ujadanie psów. Komendanci zagrozili nam, że jeżeli natychmiast nie wrócimy na brzeg, wystrzelają nas wszystkich co do jednego. Zdeternowani ludzie, a raczej wynędzniałe szczątki ludzkie, nie mający nic do stracenia, stojąc na płynących już tratwach, zwróceni twarzami w stronę komendantów, zaczęli śpiewać: "Jeszcze Polska nie zginęła". Komendanci zaczęli strzelać, lecz - na szczęście - w powietrze, a nie do ludzi. Tak zakończył się pobyt nasz w osiedlu Kwasza.

Płynęliśmy kilka dni rzeką Uftiugą do Dżwiny Północnej w kierunku miasta Krasnoborsk, który był punktem zbórczym zwolnionych zesłańców odjeżdżających z dworca kolejowego tego miasta wagonami towarowymi w różne strony Związku Radzieckiego. Płynąc do Krasnoborska nocowaliśmy w prymitywnych warunkach w różnych kolchozach i wsiach po drodze u różnych ludzi, którzy nas przygarniali.

Po dotarciu do Krasnoborska mój ojciec wraz z kilkoma mężczyznami, jako przedstawiciele naszej grupy zesłańców, byli zmuszeni zgłosić się do NKWD celem uzyskania zezwolenia na odjazd, podobnie jak inni wcześniej zwolnieni zesłańcy. Funkcjonariusz NKWD zadał mojemu ojcu pytanie: - "Kto wam pozwolił samowolnie opuścić osiedle?" - Ojciec odpowiedział: - "Nikt nam nie zabronił." - Po długim przesłuchiowaniu udzielono nam wreszcie pozwolenia na odjazd, co było najlepszym dowodem na bezprawne postępowanie lokalnych władz.

Dołączono nas do ostatnich transportów zesłańców i zawieziono na Ural do miasta Kungur w Mołotowskiej, a obecnie Permskiej "obłasti" /jak brzmiała dawna nazwa tego miasta/. Nie wiem, dlaczego tam, a nie do Czimkientu, na południe, dokąd chcieliśmy jechać, aby się ogrzać trochę po zesłaniu na północy.

Zamieszkaliśmy w Kungurze, malowniczo położonym mieście na Uralu, wśród białych marmurowych skał, między dwoma rzekami - Sikwa i Iriś. Pamiętam, jak po przybyciu do Kunguru czesano mi włosy nad gazetą, która po każdym czesaniu pokrywała się rojem wszy.

W Kungurze zesłańcy polscy i ludność rosyjska ewakuowana z terenów okupowanych przez Niemców mieszała się z ludnością tubylczą, która ze zrozumiałych względów nie darzyła nas sympatią, ponieważ dokwaterowywane nas do ciasnych mieszkań zajmowanych przez liczne rodziny. Poza tym - jak pamiętam - panowały wśród ludności rosyjskiej nastroje antypolskie. Przezywano nas, dzieci chodzące do szkoły, różnymi przezwiskami z racji naszego polskiego pochodzenia, traktowano nas jako mieszkańców najgorszej kategorii.

Ojciec w Kungurze został - jako przedstawiciel ambasady w Kujbyszewie, powołanej przez rząd Sikorskiego - mianowany przez Kota, szefa tej ambasady, mężem zaufania tzw. "poldowierennym" czyli opiekującym się wszystkimi Polakami w tym rejonie. Jego zadaniem była obrona interesów Polaków w szerokim znaczeniu tego pojęcia z udzielaniem pomocy materialnej włącznie.

W 1943 roku, pozerwaniu stosunków dyplomatycznych przez Związek Radziecki z rządem Sikorskiego, sytuacja Polaków uległa znacznemu pogorszeniu, stosunek ludności tubylczej był do nich zdecydowanie wrogi. W znaczącej części Polacy w tym czasie emigrowali z ZSRR z armią Andersa. Ojciec nie chciał emigrować, uważając, że on - jak kapitan na okręcie - powinien pozostać, aby opiekować się jako mąż zaufania dalej pozostałymi w regionie rodakami. Decyzja ta miała tragiczne następstwa. Byłam świadkiem tego wydarzenia, którego nie zapomnę do końca życia i które pozostawiło trwałe ślady w mojej psychice. Leżałam wtedy chora w łóżku, nie w dosłownym znaczeniu tego słowa, ponieważ łóżkiem był zapluskwany siennik leżący na podłodze. Ojciec był w pokoju przy mnie, matka w pracy. Przyszło dwóch funkcjonariuszy NKWD uzbrojonych w karabiny z bagnetami. Złapali mnie jak królika za grzbiet, rzucili z siennika o ścianę, bagnetami rozpruli wszystkie sienniki, przewracali nasz nędzny dobytek, skonfiskowali wszystko co miało jakąkolwiek wartość /m.in. zegarek ojca i pierścionek matki/, ustawili ojcu bagnety w plecy i wyprowadzili bez możliwości pożegnania się ze mną. Tuż przed samymi drzwiami, przed wyjściem ojciec obejrzał się i spojrzał na mnie. Pamiętam doskonale to ostatnie pożegnalne spojrzenie jego pięknych, niebieskich oczu, które już nigdy nie miały zobaczyć ojczystego kraju ani swojej rodziny. W głębi tego spojrzenia było wszystko co powinna zrozumieć jako przedwojennie

dojrzałe przez tragiczne wydarzenia dziecko. Obłącz pożegnania, lęku, rozpacz, nadziei był nakaz: - "Nie zapomnij i przekaż to kiedyś. Ucał od zapomnienia."

Ojciec miał wtedy 38 lat. Zabrano go do więzienia śledczego w Mołotowie /Pera/. Przebywał tam kilka miesięcy. Wreszcie, po kilku dopiero miesiącach, tortury przełamały jego ludzką wytrzymałość i podpisał na siebie wyrok, podpisał to czego chcieli, podpisał to czego nigdy w życiu nie popełnił. Oskarżono go o szpiegostwo i o zdradę ojczyzny. Tylko czy Związek Radziecki rządzony przez Stalina i jego klikę był ojczyzną mego ojca? W jednym z listów do matki, pisanych po polsku, który jakoś w dziwny sposób uszedł uwadze cenzury, ojciec napisał, że przyznał się do tego czego nigdy w życiu nie popełnił, bo nie mógł już dłużej wytrzymać tortur. A tortury wymyślali funkcjonariusze NKWD z azjatycką przebiegłością. Na przykład kładli więźniów rozebranych do naga na plecach na kamiennej podłodze i polewali ich lodowatą wodą, która w minusowej temperaturze zamrażała wołók ich ciała.

Matka wielokrotnie docierała do więzienia śledczego w Mołotowie, przebywając część drogi tzn. po 30 kilometrów piechotą, niekiedy podczas strasznych mrozów, aby dostarczyć ojcu paczki tzn. przede wszystkim czarny chleb gromadzony przez nas przez wiele dni z naszym racji dziennych, tzw. "pajkow". Po zakończeniu śledztwa oznajmiono matce, że ojciec został skazany na 15 lat więzienia, na co matka zareagowała utratą przytomności. Ojca zesłano do łagru, gdzie przebywał pod adresem: Solikamsk, Mołotowskaja obłast, Nyrabskij rajon, Bubyłskij OLP, Zielionaja, skrzyżka pocztowa 320/2 lub 244/2. Z łagru od ojca przychodziły listy do matki oraz trzy listy do mnie pisane głównie po rosyjsku, kontrolowane przez cenzurę wojenną. /Załączam kserokopię listu do mnie./ Matka wysyłała mu paczki, których prawdopodobnie nigdy w całości nie otrzymywał, ponieważ część zawartości odbierali więźniom politycznym kryminaliści.

Ja z matką i babcią przebywałam w Kungurze /początkowo na ulicy Oktiabrskiej 56, a następnie na ulicy Lenina 5 do 1946 r. W tym czasie chodziłam do rosyjskiej szkoły. Matka pracowała w poliklinice dziecięcej jako lekarz. Z okresu pobytu w domu dziecka zapamiętałam wszy, karaluchy, plagę pluskiew i naszą dziecięcą walkę o byt przed nastaniem nocy.

Chodziło o wywalczenie sobie miejsca do spania na dużym stole, ponieważ tam nie atakowały śpiących pluskwy w takim stopniu jak śpiących na siennikach na podłodze. Pamiętam również martwe twarze przywożonych do nas z oblężonego Leningradu dzieci, chorujących na uporczywą głodową biegunkę.

W szkole przydzielono mnie - jako najzdolniejszą uczennicę w klasie - do wspólnej nauki ze słabymi uczennicami: córką niégscowego działacza partyjnego - Rudą Baranową i córką naczelnika NKWD - Waniejewą. Ucząc się z nimi - lub ściślej - udzielając im korepetycji, byłam w tym czasie w bardzo korzystnej sytuacji, ponieważ dostawałam dużo lepsze jedzenie, które w niczym nie przypominało naszych głodowych przydziałów. Jednakże na zakończenie roku szkolnego otrzymałam świadectwo, w którym ze wszystkich przedmiotów obniżono mi stopnie do takiego poziomu, aby nie przekraczał poziomu moich dwu "koleżanek", którym pomagałam w nauce.

21. W 1946 roku zarysowała się możliwość wyjazdu Polaków z ZSRR do ojczyzny. Matka po nakazach listowych ojca, który wierzył, że z Polaki będzie łatwiej interweniować w sprawie jego zwolnienia z łagru, zgłosiła naszą rodzinę do wyjazdu. Z Kunguru, a później z Mokołowa, wyjechałyśmy wczesną wiosną towarowymi wagonami wraz z innymi rodakami z całej oblasti. Wielodniowa droga wiodła przez całą europejską część Związku Radzieckiego. Ziemia spod wiosennych roztopów pełna była jeszcze śladów wojny. Pamiętam rozległe pola pod Smoleńskiem usiane zasiekami przeciwozłgowymi, poprzewracane działa i trupy żołnierzy a nad martwym krajobrazem chmary kraczących kruków i wron. Przejżdżając przez miasta - m.in. przez Moskwę - spotykaliśmy na dworcach jeńców niemieckich.

Granice przekroczyliśmy w Siedlcach. Wszyscy wybiegli z wagonów, brali garściami polską ziemię i całowali ją płacząc. Po czym zrobili ogromny stos, na którym spalili resyjskie walonki.

22. Od 1946 roku zamieszkałam wraz z matką i babcią w Bielawie w województwie wrocławskim. Po powrocie ta ziemia w pełni wiosny wydawała mi się rajem. Kwitnące sady, ogrody pełne kwiatów a później owoce, których smak mnie zachwycił, białe pieczywo w piekarniach. Najbardziej jednak zachwycił mnie chodniki na ulicach i brukowane jezdnie.

W Kungurze bowiem, pełnym błota wiosną i jesienią, nie było takich udogodnień. Chodziło się po drewnianych deskach położonych na błotnistym gruncie. Często stojąc na jednym końcu deski można było drugim zostać uderzonym w głowę.

W Bielawie matka pracowała jako lekarz stomatolog, ja chodziłam do szkoły podstawowej a następnie do liceum. Byłam członkiem Bielawskiego Teatru Amatorskiego, z którym jeździliśmy po Polsce i raz w Warszawie zajęliśmy nawet I miejsce w konkursie teatrów amatorskich. W 1951 r. wyjechałam wraz z rodziną do Wrocławia, gdzie ukończyłam szkołę ogólnokształcącą, na następnie studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej we Wrocławiu otrzymując dyplom lekarza w 1957 r. Po studiach pracowałam w Zakładzie Farmakologii Akademii Medycznej we Wrocławiu, gdzie w 1965 r. uzyskałam stopień doktora nauk medycznych. Pracując równocześnie w Klinice Chorób Wewnętrznych jako lekarz praktyk uzyskałam I i II stopień specjalizacji z zakresu chorób wewnętrznych. Habilitowałam się jako pierwsza w Polsce z farmakologii klinicznej w 1976 r. Jestem współtwórcą tej nowej dyscypliny medycyny w Polsce. Obecnie jestem profesorem nadzwyczajnym i kierownikiem Katedry i Zakładu Farmakologii Klinicznej Akademii Medycznej we Wrocławiu.

A teraz o najbardziej tragicznym epilogu pobytu mojego ojca w Łagrze. W 1947 roku urwała się nasza korespondencja z ojcem, który pozostał w Łagrze. Po kilku latach rozpaczliwych listów, wyjazdów do Warszawy, bezskutecznych poszukiwań przez różne instytucje uznaliśmy ojca za zaginionego. W 1955 roku zjawił się w naszym mieszkaniu we Wrocławiu zwolniony tegoż roku współwięzień ojca, niejaki pan Sobolewski. Opowiedział nam straszną historię okoliczności śmierci ojca. Przebywający w Łagrze wraz z więźniami politycznymi kryminaliści wykorzystywali więźniów politycznych odbierając im paczki, a sytuacja ich w Łagrze była dużo korzystniejsza niż gdyby znajdowali się na wolności. Przedłużali więc sobie pobyt w Łagrze poprzez popełnianie różnych przestępstw. Kara śmierci im nie groziła, bo w tamtych czasach nie było kary śmierci za najgorsze przestępstwo. Jeden z kryminalistów, niejaki Rogoń, postanowiwszy przedłużyć sobie pobyt w Łagrze, rano zaszedł ojca od tyłu podczas mycia i rozłupał mu głowę siekierą. Siekiera utkwiała tak głęboko w głowie, że nie można jej było wyciągnąć. Pochowano ojca w deskach w syberyjskiej tajdze. Następnego lata współwięźniowie nie mogli odnaleźć grobu, ponieważ miejsce zarosło bujną roślinnością.